Nr 9. We Lwowie dnia 16. Listopada 1872. Rocz. IX



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
(Wrazie zwiększenia liczby prenum. 3 razy na miesiąc.)
Adres Lwów Nr. 35⁸/.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

O paleniu papierosów.

Nieraz przykaz rodziców, aby dzieci czegoś nie robiły, wydaje się niejednemu przykrym, a niektórzy nawet starają się go choć ukradkiem przełamać. Z pomiędzy wielu, dzieciom wzbronionych czynności, jest jedna niby niewinna, na pozór małoznacząca, a przecież bardzo szkodliwa w swych następstwach. — Chcę tu mowić o paleniu tytoniu, a to dla tego, że nieraz zdarzyło mi się napotkać zaledwie dziesięcioletnich chłopczyków, palących papierosy.

Z pewnością rodzice wzbraniają im tego, dla czegoż nie są im posłuszni? Wprawdzie palenie tytoniu nie jest żadnym występkiem, skoro używane jest przez tylu ludzi, ale co zdrowem bywa dla starszych, jest często bardzo szkodliwem dla młodych, i tu właśnie ten zachodzi wypadek.

Na dowód tego twierdzenia opowiem wam przykre bardzo przejścia pewnego chłopczyka, którego znam osobiście i którego nawet przez pewien przeciąg czasu byłem nauczycielem.

Ignaś od najmłodszego wieku okazywał wielkie pojęcie i wróżył nadzwyczajne zdolności. Co miał zadane na pamięć, przeczytał raz, dwa i już umiał; co zaś potrzeba było pojąć rozwagą, to tylko zastanowił się i odrazu zrozumiał. W szkołach nauka szła mu wybornie i w pierwszych klasach otrzymywał zawsze postęp z nadgrodą. Później jednak pamięć zaczęła mu tępieć, pojęcie zmniejszało się, uczył się jednak dobrze, tylko mu szło w tem coraz trudniej i nauce musiał coraz więcej poświęcać czasu. W wyższych klasach trudność nauki rosła, pamięcią i pracą ratował się, ale pojęcie widocznie go opuszczało. Po ukończeniu szkół gimnazjalnych zaczął na zdrowiu tak podupadać, i to w tak dziwny sposób, że lekarze nie mogli odgadnąć przyczyny słabości. Czasami zapominał się, chciał pójść np. na prawo, a tymczasem poszedł na lewo; chciał coś zrobić albo powiedzieć i w połowie mowy lub czynności przerwał, bo zapomniał do czego zmierzał. Jeżeli słuchał mówiących, albo czytał, to nie mógł myśli powiązać, słyszał dźwięk słów, a nie pojmował dobrze ich znaczenia. Przyszło przytem ogólne osłabienie, brak snu, chęci do jadła i choc niby nie leżał obłożnie, ale był bardzo ciężko chory, bo nad

nim, jak nad dzieckiem, musiano mieć opiekę. — Zmartwieni rodzice udawali się do wielu lekarzy, przepisywano różne leki, wszystko jednak nic nie pomagało i Ignacemu było gorzej z dniem każdym. Jedno tylko namiętne palenie papierosów nie opuszczało go, czego mu już rodzice nie wzbraniali w końcu, nie chcąc go pozbawić tej jedynej rozrywki, jaka mu pozostała, — aż dopiero pewien lekarz począł głębiej badać chorobę, a zwróciwszy uwagę na to namiętne palenie papierosów przez Ignacego, dowiedział się od niego, że pomimo zakazu rodziców, palenie papierosów rozpoczął od bardzo młodego wieku i tak się do tego przyzwyczaił, że potem każdy grosz dany na owoce, obracał na kupno tytoniu. Przyzwyczajenia tego już wcale nie porzucał i nie mogąc jawnie, ukradkiem palił tytoń i to z coraz większą łapczywością, tak, iż potem dymu ustami nie wypuszczał, lecz go połykał, wdychając w piersi.

Lekarz wysłuchawszy tego opowiadania, pokiwał głową i rzekł: Przyczyna choroby już teraz nie jest żadną tajemnicą — tytoń to zrobił, jako używany w zbyt młodym wieku. Wszystkie bowiem części ciała i umysłu w tym czasie dopiero rosną, wykształcają się, wszystko więc silniej na nie działa, jak u starszego wiekiem. Dym z tytoniu oczadza je, a pewna cząstka składowa tytoniu zwana nikotyną, napawa je zabijającą trucizną. — Szczególnie szkodliwie działa nikotyna na władze umysłu u niedorosłych, tępi je pomału, zamiast wykształcać, a w końcu nawet zagładza. Trzeba więc przedewszystkiem zaprzestać palenia — mówił lekarz — a jeżeli Pan Bóg dopomoże, to wróci wszystko do właściwego stanu.

Ignacy poddał się leczeniu, biedy z nim było bardzo wiele, jeździł do wód zagranicznych, i po pięciu zaledwie latach przyszedł do siebie — ale nie odznaczał się już temi zdolnościami, jakie obiecywał, i dziś sam sobie złorzeczy, że rodziców nie słuchał.

Podobne nieszczęście nie każdego wprawdzie trafia, kto zbyt młodo rozpoczął palenie tytoniu; jednakże dla każdego młodego jest szkodliwem — jednemu mniej, drugiemu więcej zaszkodzi, a zawsze niszczy pamięć i inne zdolności. Strata zaś tych cennych władz umysłu choćby i w najmniejszej odrobinie jest stratą ogromną — bo czyż może być ich nadto?

Nie palcie więc nigdy papierosów, zakazu rodziców i nauczycieli słuchajcie chętnie, bo oni zawsze kochającem was sercem przeczują, co wam może być szkodliwem, choćby w najdalszej przyszłości.

Narodziny.

Gdy raz pierwszy dziecina
Słabe wzniosła powieki
Głos muzyki dalekiej
Powtarzała dolina.

Drżało światło jutrzenki,
Słowik spiewał w ukryciu
Najpiękniejsze piosenki,
W najpiękniejszym dniu w życiu.

Blaskiem zorzy rumianej
Rozjaśniły się ściany;
Coraz więcej promieni
Dziecku w oczach się mieni.

Kędy rzuci oczyma,
Na kim oko zatrzyma,
Wszyscy w świecie koleją
Wciąż się przed niem składają.
Ci na palcach się czają,
Ci się patrzą i śmieją.
Coś mu dzwoni nad główką,
Coś, co cieszy serduszko,

Więc nadstawia swe uszko,
Chwyta słówko, oj słówko,
Głos rodzinny, jedyny,
Samem brzmieniem zachwyca
I dobywa na lica
Pierwszy uśmiech dzieciny.

Ranny wietrzyk przewiewa
I roznosi na fali
Słodką, lubą woń drzewa,
Bzu i leśnej konwalii.

Matka daje uśmiechy,
Ludzie miłych słów dźwięki,
Gaj wolności oddechy,
Luby słowik piosenki.

To i wszystko co w świecie,
Najpiękniejsze, jedyne,
K' czemu śmieje się dziecię
W pierwszą życia godzinę.

O ukochaj na wieki
Ten głos pieśni dalekiej,

Te poranku wonności,
Te uśmiechy miłości.
O zatrzymaj w swem oku
Obraz matki kochanej,
Ciemne chatki twej ściany,
Srebrne wody potoku.

Otóż wchodzą do chaty
Coraz nowi i nowi,
Dziewczę niesie ci kwiaty,
Dziad się z lirą sadowi.

„Zkądżeś przyszło kochanie?



Niech w twej myśli dziecięcej
Nie postanie nic więcej,
Tylko matki oblicze,
Jak słoneczko pogodne,
Tyłko pieśni słodycze,
Tylko tchnienie swobodne.

Niech te cuda prawdziwe,
Za któremi nic nie ma,
Twoje serce zatrzyma,
Zawsze jasne jak żywe.

To i będzie ci znośniej,
Życie czyściej przebieży,
A jak burza cię chłośnie,
To cię tylko odświeży.

———

„Czyś ty w niebie wyrosło?...
„Czy cię skrzydło bocianie
„Z ciepłych krajów przyniosło?
„A witajże kochanku!
„Jasna zorzo poranku!
„A witajże raz, drugi,
„A żyj z nami wiek długi.

„Niech nam rośnie to dziecię,
„Jak pszeniczny kłos w lecie,
„Niechaj jako chleb w dzieży,
„Rozrośnie się, rozszerzy,“ —

Tak mu śpiewa dziad siwy,
Słówka idą jak z płatka,
Że aż cieszy się matka,
Cieszy ojciec poczciwy.

*

Jedno słówko zabrzmiało,
Toć je pewnie zgadniecie...
I sprawdzi się na świecie,
Bo się dziecko rozśmiało.

Miodu, miodu, a dużo!
Dziecku oczy się mrużą,
Pociągnijmy, Bóg świadkiem,
Podzielmy się ostatkiem.

— Radość weszła pod strzechę,
Co wam bracia się spieszyć?
Pan Bóg dał nam pociechę,
I jakże się nie cieszyć!

Teofil Lenartowicz.

Kochani moi czytelnicy!

Jeden z najserdeczniejszych poetów naszych, Teofil Lenartowicz, przedstawia nam tkliwemi słowy w powyższych wierszykach radość nietylko rodziców, lecz wszystkich otaczających kołyskę nowonarodzonego. I tak jest rzeczywiście! Nie ma może na świecie większej radości nad tę, jaką uczuwają ludzie na widok przychodzącego na świat dziecięcia. Raduje się niem matka, raduje ojciec, cieszą krewni, przyjaciele i sąsiedzi, z ust do ust przechodzi ta radośna nowina i każdemu się zdaje, że przychodzący na świat człowiek wszystkim błogosławieństwo i pozdrowienie od Pana Boga — Stwórcy swojego, przynosi. Nowonarodzone dziecię, to aniołek bez grzechu i skazy, bez złości i złych chęci, śmieje się do każdego i rączęta wyciąga, a wiecie dla czego? oto dla tego, iż wyniosło od Pana Boga ze sobą na świat to odwieczne przykazanie: „Kochaj każdego, jak siebie samego.“ Gdyby z tem uczuciem nie rozstał się człowiek nigdy w tem życiu, o wtedy na tej ziemi byłoby niebo i ludzie miłowaliby się między sobą jak anieli, grzechuby nie było i zawsze panowałaby taka radość i wesele, jaką widujemy w rodzinie przy narodzinach dziecięcia. Inaczej jednakże dzieje się najczęściej na świecie. Dziecię, ten aniołek niewinny do każdego się uśmiechający, rośnie z dniem każdym, a z wzrostem ciała traci pomału tę niewinność i miłość, jaką ze sobą na świat przyniosło. Im człowiek starszy, im ciało silniejsze — tem więcej ma potrzeb, a więc tem więcej dokłada starań, by te potrzeby — czy to w jedzeniu czy w ubraniu zaspokajać, przez co przygłusza w sobie te wszystkie przymioty duszy i serca, jakiemi — będąc niemowlęciem — jaśniało. — Starając się o te potrzeby naraża sobie często innych ludzi, a tak pomału traci tę miłość, jaką mieli ku niemu, gdy był dziecięciem. I często się zdarza że ten sam, który będąc w kołysce do wszystkich wyciągał rączęta, do każdego się uśmiechał, którego wszyscy kochali — później wyrosłszy każdego nienawidzi, wszystkim zazdrości, toż go nikt nie kocha i każdy stroni od niego jakby od zwierza drapieżnego. Tak jest a nie inaczej; człowiek, który tylko w ciało rośnie i temu ciału dogadza, nie przechowa ani iskierki tej miłości, tej niewinności, jaką na świat przyniósł ze sobą i zamiast wyrość na pociechę ludziom i chwałę Pana Boga, Stwórcy swego, staje się pomału straszniejszym od najdrapieżniejszego zwierza, — a jako taki jest i sam nieszczęśliwym — i wszystkim otaczającym go nieszczęście i zgryzotę przynosi.

Zapewne zapytacie teraz, co trzeba robić, by nie wyrość na takiego cielesnego człowieka, by przeciwnie być i sam szczęśliwym i innym szczęście przynosić? — Odpowiem wam — drodzy moi — kilkoma słowami. Oto trzeba wypełniać najściślej wszystko to — co tylko od was rodzice i starsi wymagają. Rodzice otaczają swe dzieci od najmłodszych lat najczulszem staraniem, zrazu strzegą tylko ciało, dopóki nie wyrośnie o tyle, ile mu potrzeba do ostania się o własnej sile, ale jak tylko dziecko już dobrze chodzić potrafi, jak tylko rozpoznaje podpadające pod oczy przedmioty — o! wtedy dbali o dobro dzieci rodzice, mniej baczą na ciało, ale natomiast rozdmuchują owe iskierki miłości, niewinności i innych cnot, jakie dzieci ze sobą z nieba przyniosły, a które gdzieś w sercu i duszy uśpione spoczywają. Biada tym dzieciom, które nie słuchają wtedy głosu swych rodziców i robią co innego, niżeli im zalecają. Takie nieposłuszne dzieci wyrosną może na zdrowych i silnych, lecz niestety nigdy nie staną się dobrymi i poczciwymi ludźmi. I z takich to nieposłusznych dzieci, czy to gdy się znajdują jeszcze u rodziców w domu, czy później idą do szkoły, a i tam także nie słuchają rad i napomnień nauczycieli, tylko wręcz przeciwnie postępują — wyrastają pomału ludzie źli, podobni raczej do dzikich zwierząt, niżeli do ludzi, których czyny i postępki powinny być zacne i dobre jak aniołów w niebie, do których każdy nowonarodzony człowiek jest zupełnie podobny.

O pamiętajcie — drodzy moi — iż jeżeli chcecie by was przez całe życie wszyscy tak kochali — jak kochają każde nowonarodzone dziecię, trzeba wam wypełniać wszystkie rady i napomnienia rodziców i nauczycieli, bo tym tylko sposobem zachowacie i pomnożycie w sobie te cnoty, które ze sobą rodząc się na świat, z nieba przyn osicie.

A. K.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

W bitwie pod Lipskiem, w której Polacy — walcząc z cesarzem Francuzów, Napoleonem I., szczególnie się odznaczyli — nasz Kazimierz został ranny i wzięty przez Prusaków do niewoli, z której po kilkunastu miesiącach wypuszczony, wrócił do kraju i cały prawie rok 1814 przebył u swej ciotki we wsi Sulikowie, odpoczywając po trudach wojennych. Następnie udał się do Warszawy, gdzie za staraniem swych towarzyszy broni został urzędnikiem. Miał wówczas lat 23. Od tego czasu rozpoczyna się nowy okres życia naszego przezacnego ziomka. Obok prac swego urzędu, wszystkie wolne godziny poświęcał on z niezmordowaną wytrwałością nauce języka ojczystego i poznaniu znakomitych naszych pisarzy. Kochając nad wszystko ziemię ojczystą i jej skarby, bolał szlachetny młodzieniec nad ówczesnym u nas upadkiem piśmiennictwa narodowego, wtedy bowiem wszyscy uczeni i pisarze nie opisywali tego co swoje, co ojczyste, tylko naśladowali obcych, szczególnie Francuzów. Ztąd też poszło, iż pomału i dawne cnoty Polaków zacierać się poczęły, a w ich miejsce zagnieżdżały się zwyczaje i obyczaje francuskie. Do tego wreszcie nawet doszło, iz wielu Polaków wstydziło sie nawet mówić ojczystym językiem, używając wyłącznie francuskiego. Dzieci zwłaszcza w bogatszych rodzinach uczono pierw po francusku niżeli po polsku. Nietylko więc straciliśmy wówczas Ojczyznę i dostali się pod panowanie obcych, ale co gorsza i boleśniejsza — wielu zapomniało iż na polskiej zrodzili się ziemi.

Takie miłością Ojczyzny przepełnione serce, jakie posiadał Kazimierz, nie mogło dłużej znieść tak hańbiącego naród upadku. Wiedział on dobrze iż gdy naród zatraci swój własny język, zatraci niebawem i poczucie, iż jest Polakiem. Zacny młodzieniec postanowił więc pracą swoją, swojemi pismami obudzić na nowo miłość do rodzinnego języka, do ojczystych zwyczajów i cnót narodowych. Co postanowił, wypełniał odtąd sumiennie przez całe życie aż do śmierci. Zrazu wyszydzano nieznanego młodzieńca, lecz niebawem poczciwa jego praca i szlachetny cel zjednały mu serca zacniejszych, a w końcu cały naród poczuł się do wielkiej wdzięczności dla tego, co rozbudził na nowo przygasłe uczucia i obowiązki względem kraju i Ojczyzny.

Z wielu prac piśmiennych, za pomocą których Brodziński dopiął zamierzonego celu — najpierwszą i najpiękniejszą jest — powieść wierszem napisana pod tytułem „Wiesław“. Treści do niej zaczerpnął z życia ludu wiejskiego i dla tego tę jego przecudną pracę **sielanką** nazwano. Każdy ją czytał z zapałem, bo tam znalazł wszystkie te obrazy i uczucia, jakiemi od kolebki oddychał i jakie go wszędzie, gdzie tylko stąpił po ziemi swej rodzinnej, otaczały. Niedługo po napisaniu „Wiesława“ i kilku jeszcze innych prac, porzucił Kazimierz służbę urzędnika i wyłącznie poświęcił się zawodowi naukowemu. W roku 1818 został nauczycielem wymowy w szkole Pijarów w Warszawie, w trzy lata potem profesorem w liceum, a w r. 1826 profesorem na wszechnicy w Warszawie. Tymczasem wśród ciągłej a uciążliwej pracy coraz to bardziej począł zapadać na zdrowiu, dla podratowania którego wyjeżdżał kilkakrotnie z Warszawy, jednakże wszelkie zabiegi najzdolniejszych lekarzy nic mu nie pomagały. W roku 1835 choroba jego piersiowa tak bardzo się wzmogła, iż stracono wszelką nadzieję ocalenia go. Widocznie gasnącego wysłano w celu leczenia do Drezna, — lecz już było za poźno. Kazimierz Brodziński skonał tamże dnia 10. października 1835. Żona i jedyna córka, Karolina, nie były przy jego śmierci, nie chciał im bowiem sprawić większej boleści — tak więc z dala od najbliższej rodziny zakończył życie sieroce ten, który — jak sam tylekrotnie wspominał — nie zaznał nigdy uścisku swej matki. W ostatniej godzinie życia miał przy sobie tylko przyjaciela, który mu zamknął powieki — przyjacielem tym był Edward Odyniec, również znakomity poeta i naśladowca Brodzińskiego. Na zakończenie tej wzmianki o najzasłużeńszym mężu na polu poezji ojczystej, nie będę wam wymieniał wszystkich licznych jego prac, natomiast podam niektóre wyjątki z „Wiesława.“ (Dok. nast.)

Kochać bliźniego jest naszą powinnością.

Powiastka.

Śliczny był poranek wiosenny, słońce jeszcze słabe promienie rzucało w około, — listki drzew drżały pod kroplami spadającej rosy, a w każdej z nich tęczowe kolory jutrzenki jaśniały jak diamenty. W piękne przybrane barwy, wonne kwiaty wznosiły główki, a słowik miłe dla ucha wznosił piosenki. Tego właśnie poranku pani Wysocka — która dla słabości zdrowia zamieszkiwała wiejski domek w Winnikach pod Lwowem, — wyszła na przechadzkę z córką swą Zosią.

Gdy dochodziły do mostku, ujrzały starca zgrzybiałego. Podarte łachmany okrywały jego ciało, a twarz nędzna i wychudła świadczyła, iż nie miał dostatniego pokarmu ani innych wygód.

Wzruszona tym widokiem nędzy pani Wysocka wyjęła woreczek z pieniądzmi i podała Zosi, aby starcowi udzieliła jałmużny. Dziewczynka zdziwiona tem, że matka wspiera Żyda, zawołała: Mamo! co robisz? wszak to jest Żyd!... Lecz widząc na twarzy matki największe zdziwienie, nic nie mówiąc, podała żebrakowi woreczek. Pani Wysocka oddaliła się czemprędzej, aby nie słyszeć podziękowań starca i temi słowami odezwała się do Zosi:

— Jakto, Zosiu, i tyś zapomniała słowa Chrystusa, który mówi: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego!“ Wszak wiesz o tem, że każdy człowiek, czy to Chrześcianin, czy Żyd, czy jakiejkolwiek innej wiary, jest naszym bliźnim, przeto się wzajemnie miłować winniśmy. Widzisz biednego, wspomóż go, cierpiącemu staraj się usilnie osładzać jego cierpienie, już to radą, uczynkiem lub pociechą.

O drogie dziecię! niech te słowa na zawsze pozostaną ci w pamięci, a jeżeli to dzisiejsze zapomnienie nagrodzisz innym uczynkiem, ale dobrym, będzie to dla mnie największą rozkoszą.

Może ten starzec dnia następnego by nie doczekał, gdyby nie nasz zasiłek. — A może znowu prośba jego za nami do Pana Boga Wszechmocnego zostanie wysłuchaną!

Rozczulona dziewczynka, ucałowawszy ręce matki, przyrzekła święcie, że odtąd wszystkich ludzi jak braci będzie zarówno uważać i zarówno miłować.

Pamiętajcie młodzi! nie pogardzajcie nikim, — czy on w siermiędze, czy w kapocie, czy w jupicy żydowskiej — bo każdy człowiek bez wyjątku — to **nasz** bliźni — i wszyscyśmy w obec Pana Boga i praw jego równi zupełnie. Jedynie cnota, praca i **zasługa** człowieka **robi** wartniejszym, lecz nigdy majątek lub inne jakiekolwiek względy.



Wół grzywiasty.

Wół grzywiasty.

Już z samego tytułu możecie się domyśleć, że wół grzywiasty jest spokrewniony z wołem naszym domowym, a różni się od niego tylko tem, że jest mniejszy — i że na karku ma wielki garb, który razem z długiemi włosami, ku ziemi spuszczającemi się, nadaje mu pewną niezwykłą okazałość. Cały czarny, czoło jednak, nogi i brzuch ma białe, a ogon podobny do końskiego, składa się z długich, delikatnych i miękkich włosów, którym nieustannie machając, wybornie się opędza od owadów i chłodzi zarazem jak wachlarzem.

Dla ludów w Azji mieszkających jest on niezmiernie użytecznem zwierzęciem. Używają go do przewożenia ciężarów, a gdy go obciążają ładunkiem, ogląda się ciekawie, jakby pragnął dowiedzieć się, co mu dźwigać każą. Z długich jego włosów wyrabiają różne tkaniny, ze skóry przysposabiają rzemienie, mięsem żywią się jak u nas wołowem, to samo mlekiem, które w naczyniach skórzanych daje się długo bez skwaśnienia przechować. Ogon jednak najdrożej bywa płacony. Indyjscy magnaci oprawiają go w złoto i używają do odpędzania much, których tam tak wielka znajduje się ilość, że bez ciągłego wachlowania niemożnaby ani mówić, ani jeść, bo zaraz roje ich wpadają do ust albo oczów. Zawieszają je czasem jak kolczyki przy uszach słonia, z których on zawsze bywa zadowolony, bo poruszając głową płoszy muchy, obsiadające mu nogi i boki. Niewybredny w pokarmie, żywi się trawami na wzgórzach i pagórkach rosnącemi i ciągle prawie chrząka mrukliwie i dla tego zowią go czasami Mruczkiem. Ale to nie jest mruczenie niezadowolenia, jak to się zdarza czasem chłopczykom i panienkom, gdy mrucząc sobie pod nosem gniewają się, że im czego odmówiono. On przeciwnie skubie sobie trawę i mruczy, bo cieszy go pożywienie, które w niej znajduje; mruczy leżąc, bo go zadawalnia spoczynek; mruczy **wreszcie** przy ładowaniu ciężaru, bo raduje się że daje z siebie pożytek. — Tak więc mruczenie jego nikomu nie przynosi przykrości, z dziećmi mruczkami inaczej bywa. Krzywiąc się, mrucząc, dąsając, gniewają rodziców, gniewają babcię, dziadzię i ciocię, a nawet i dla domowników stają się nieznośnemi, tak że każdy nazywa je niegrzecznemi dziećmi. Wołu „Mruczka“ nikt tak nie na-

zwie, bo jest posłuszny, potulny, w jedzeniu niewybredny, a przedewszystkiem powiadam wam, że jest zwierzęciem pożytecznem, chętnie ludziom niosącem pożytek.

Być pożytecznym człowiekiem dla ludzi, największa to cnota i największy zaszczyt. Takiego szanują ludzie, a Bóg błogosławi. Zastanówcie się teraz dobrze i odpowiedzcie, jak trzeba postępować w młodych latach, co należy robić, żeby w późniejszym wieku być pożytecznym obywatelem swego kraju? — Kto z was zechce ucieszyć waszego przyjaciela, niech napisze w kilku słowach odpowiedź na to pytanie i przyszle ją do naszej redakcji, a damy wam o tem później sprawozdanie, w którem może niejeden pożytek znajdziecie.

JAK MAMĘ KOCHAM!

Julcia z Jadwisią bawiły się w pokoju, a Władzio przybiegał po nich i zawsze im zabawki poprzewracał.

— Jak mamę kocham, odezwała się Julcia, tak poskarżę się na ciebie przed mamą.

— Z tobą Władziu, dołożyła Jadwinia, to — jak mamę kocham, trudno wytrzymać.

— Moje siostrzyczki, odezwał się Władzio, i ja się na was poskarżę, jak mamę kocham.

— Nie miałbyś o co, bo my, jak mamę kocham, nic ci nigdy złego nie robimy.

— O! ho! ho! wiele złego jak mamę kocham.

— To powiedz, bo ja się, jak mamę kocham, do niczego nie poczuwam.

— Ani ja, jak mamę kocham, dołożyła Jadwinia.

— Więc wam powiem. Najprzód się nie chcecie ze mną bawić, jak mamę kocham.

— Jak mamę kocham, tak to nieprawda.

I jeszcze dalej chciały dzieci przekonywać się, ciągle klepiąc bez myśli swoje zaklinania, kiedy weszła do pokoju mama.

— Kochana mateczka! krzyknęły dzieci i szybko pobiegły do mamy.

— Czy kochana, tego nie wiem, odezwała się mama.

— A to dla czego? — zapytały ze smutkiem dzieci.

— Bo żebyście mnie kochały, tobyście szanowały, a szanując imię moje wymawiałybyście także z poszanowaniem, a nie tak ciągle bez myśli, jak mamę kocham i jak mamę kocham.

Dzieci zawstydzone spuściły oczy, a mama mówiła dalej:

— Suknia im droższa tem rzadziej się używa, imię matki albo ojca stokroć droższe dla dobrych dzieci od sukni, jeszcze rzadziej powinno być wymawiane. Wy zapomnieliście tego i zakląć się: jak mamę kocham, weszło wam nawet w przyzwyczajenie. Czy to dobrze?

Dzieci pomilczały chwilkę i rzuciwszy się w objęcia mamy, zawołały razem:

— Nie dobrze, moja mamo! a Władzio dodał: jak mamę.... ale się zatrzymał i już ostatniego wyrazu nie domówił. — Od przyzwyczajenia każdego trudno odwyknąć.

Myśli i zdania.

Być obłudnym, kłamcą, mało ważyć cześć własną i z ludźmi żyć w niezgodzie, to znamię człeka złego.

Gdy masz co zrobić, wprzódy dobrze rozważ i naradź się zarówno z sobą jak z ludźmi. Ale gdy już co robisz, to rób prędko i nie zwlekaj.

Owce i wół.

Dziwiły się owce, że gdy bydło w pole wychodziło, osieł szedł na jego czele.

Wół na to łbem kiwnął i tak się odzywa:

Przed mędrszymi zwykle głupiec się wyrywa.

Więcej rób jak obiecuj, a gdy co obiecasz, to nie zwłócz.

Rozmaitości.

Porównanie lokomotywy z koniem.

Gdy przed czterdziestu laty ani jednej lokomotywy nie było w Europie, dziś jest ich na drogach żelaznych mniej więcej 24.000. Ponieważ jedna lokomotywa średniej wielkości ciągnie na szynach tyle co 700 koni po dobrej drodze, a zatem wyrachujcie, ile to koni zastępuje 24 000 lokomotyw, bez względu na szybkość jazdy, która na drogach żelaznych jest 20 razy większą od szybkości wozu na dobrej drodze.

Do obsługi tych 700 koni, zastępowanych jedną lokomotywą, potrzebaby 175 ludzi, rachując jednego człowieka na 4 konie; zaś na owies i siano dla tych koni, rachując rocznie po 40 korcy owsa i 40 cetnarów siana na jednego konia — potrzebaby rocznie 28.000 korcy owsa i tyleż cetnarów siana.—

Na utrzymanie jednego człowieka potrzeba co najmniej rocznie 250 złr., a za korzec owsa licząc po 4 złr., tudzież za cetnar siana po 85 cnt. — wyrachujcie, proszę — ile by wypadło wydatków. Do obsługi zaś jednej lokomotywy potrzeba 15 lu-

dzi, rachując w to i zarząd wyższy i drożników — że zaś lokomotywy karmią się wodą i węglem, co mniej więcej na cały rok, rachując po 16 godzin na dobę, kosztuje rocznie 16.800 złr. — przeto obliczcie jaka jest różnica między wydatkami na 700 koni i 175 ludzi, a wydatkami na jedną lokomotywę.

Zważmy przytem szybkość jazdy.

Dawniej jadąc końmi do Paryża i to pospieszną pocztą trzeba było dwa tygodnie czasu i wydatku pieniędzy najmniej 500 złr. — dziś koleją żelazną można stanąć w Paryżu za dni trzy, zabawić tam tydzień albo i dłużej trochę, powrócić i żyjąc tam nawet wygodnie nie wydać 500 złr.

Pożytek więc z lokomotyw poruszanych siłą pary, jaki spływa na całą ludzkość, nie da się nawet obliczyć, a pożytek ten spłynął jedynie z nauki, bo ta wynalazła i wprowadziła lokomotywy i koleje żelazne w życie. *A. K.*

Najlepsze wiązanie.

U państwa M. ruch był niezwykły, bo za tydzień wypadały imieniny samej pani M. i każdy przygotowywał w tajemnicy wiązanie, z jakiem miał wystąpić w dniu tak uroczystym. Jeden tylko Kostuś najmniej się krzątał, a gdy mu robiono uwagę, że zostawiając przygotowanie do ostatniej chwili, źle na tem wyjdzie, odrzekł:

— Jak tam wyjdę, nie wiem — ale że moje wiązanie najwięcej mamę ucieszy, to prawie tego jestem pewny.

Kiedy nadszedł 8. grudnia i wszyscy zgromadzili się przed sypialnią mamy, aby, jak z łóżka powstanie, zaraz mogli jej złożyć życzenia, Kostuś trzymał kartkę papieru, na którym dniem przedtem własnego pomysłu napisał powinszowanie. — Przez uchylone drzwi zobaczono, że mama już kończy ubranie, cichaczem więc na palcach, żeby zrobić niespodziankę, wsunęli się wszyscy, a na końcu ojciec, który chrząknął, aby zwrócić solenizantki uwage na zgromadzoną rodzinę.

Najprzód więc wystąpiła Jadwinia z długiem powinszowaniem wierszami ułożonem; później Józio starszy braciszek, potem ciocia dała wyhaftowaną chusteczkę, ojciec szal czarny, Barbara, dawna sługa piękny bukiet kwiatów zasuszonych, a Kostuś stał na samym końcu jakiś nieśmiały i pomięszany.

— Czy Kostuś zapomniał o mnie? zapytała mama.

— Nie mateczko — odrzekł chłopczyna rumieniąc się i przystąpiwszy bliżej oddał trzymany przez siebie papier.

Mama rozwinąwszy go przeczytała głośno co następuje:

„Przyrzekam kochanej mamie na wiązanie,
Że nigdy nieposłuszeństwem serca jej nie zranię.“

— Prześlicznie! zawołała mama — i któż ci tak piękną myśl wierszem ułożył?

— Ja sam, mateczko, a ciocia poprawiła.

— I zkądże ci się wziął taki śliczny pomysł?

— Mateczka często mnie łajała, że nie wypełniam tego co mama każe: że zamiast uczyć się to biegam, zamiast być cicho to hałasuję, zamiast być grzecznym dla wszystkich to często sprzeczam się i kłócę i wtedy zawsze mama mówiła, że nieposłuszeństwem wielkie jej przynoszę zmartwienie. Myśląc więc, coby najlepszego dać mamie od siebie na wiązanie, przyrzekłem w duszy swej posłuszeństwo i z tego zrobiłem tylko dwa wiersze, bo więcej nie mogłem już skomponować.

— Dostateczne są dla mnie, odrzekła mama, i stanowią najlepsze dla mnie wiązanie, tylko czy dotrzymasz przyrzeczenia i nie zapomnisz o niem?

— Gdybym kiedy zapomniał, odrzekł Kostuś, to niech mi mama pokaże tylko ten papier, a zaraz się poprawię.

Kostuś cały ten dzień był bardzo wesoły i potem nigdy już nie dał powodu, aby mu przyrzeczenie przypominano, powtarzając często, że dał mamie najlepsze wiązanie.

Zagadka.

A to mi panicz dziwnej postaci,
Żyje bez głowy, więc jej nie traci,
Nosi kapelusz przestronny srodze
I pełza wiecznie na jednej nodze.
Samotne puszcze lubi najlepiej,
A jeśli czasem kogo częstuje,
To jednych smaczną strawą pokrzepi,
Drugich złośliwiec haniebnie truje.
Więc kto go spotka, wraz bez litości,
Za cnoty, zdrady, gruchoce kości.

Rozwiązanie zagadki poprzedzającego numeru.

1. O + ku + la + ry. 2. Grzyb.

Skarbonka z r. 1872
na oświatę ludową.

Uczniowie i uczennice szkoły ludowej ze Wzdowa w Sanockiej Ziemi, składają **1 złr.** do Skarbonki na oświatę ludową z r. 1872 — z oświadczeniem serdecznej podzięki dla tych, którzy zajęwszy się zbieraniem składek wyrzekli tę pamiętną prawdę: „Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.“ Tym bowiem sposobem i najuboższy chociażby maluczką ofiarą spłaci choć w części święty dług względem Ojczyzny.

Podpisano *Zieliński*, nauczyciel.

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.